

KID – Kulturalnie, Inteligentnie, Dowcipnie

W numerze:

4 *Niedźwiedzia przysługa* - imperialne sentymenty Moskwy



5 *Giedroyc miał rację* – rozmowa z Pawłem Kowalem o Europie, Wschodzie i polityce zagranicznej



15 *Japoński desant* –anime & manga

A PONADTO:

7 Miało być pięknie, wyszło jak zawsze - czyli po Olimpiadzie

8 Stalin z krwi i kości

11 *Tam był tylko strach* - o twórczości Martina Scorsese

13 „XIV-ka” - komiks

15 Kylie Minogue – „X”



Witamy w kolejnym numerze KID-a. Tym razem grubszego o kilka stron. Mam nadzieję, że kolejne jego edycje nie zrujniają szkolnego budżetu.

To wydanie miało być początkiem zmiany profilu pisma. Więcej „kultury” - recenzji, muzyki i książek. Ostatni numer uznano za zbyt rozpolitykowany, więc warto też w końcu zwrócić uwagę na inne, bardziej „budujące” dziedziny naszego życia.

Jeśli rzadko pisze się o polityce, to znaczy, że nic ciekawego się nie dzieje, czyli... że jest dobrze. Jednak i tym razem nie dało się jej po prostu pominąć. Nikt chyba kilka miesięcy temu nie przypuszczał, że problem Tybetu i Igrzysk zostanie zepchnięty hen, hen, daleko przez wojnę w Gruzji. I to już w pierwszym dniu Olimpiady.

Za czas jakiś uwaga świata skupi się pewnie na innych sprawach, ale czystki etniczne i pogromy będą na Kaukazie trwały. A w tym przypadku akurat nie powinna obowiązywać zasada, „że im ciszej, tym lepiej”.

Bardzo dziękujemy Cezaremu Krysztopie za użyczenie KID-owi swoich rysunków. Być może będzie to początek ciekawej współpracy. Zapraszamy wszystkich na blog grafika:

www.bozeuchowaj.salon24.pl

Herman

20 Czarne dni futbolu

21 Rozmowa z szefową Samorządu Uczniowskiego

22 Przed i po lekcjach, czyli życie licealisty

24 Generacja Nic

25 *Boże, uchowaj!* – galeria Cezarego Krysztopy



*jeśli tematem sztuki
będzie dzbanek rozbity
mała rozbita dusza
z wielkim żalem nad sobą*

*to co po nas zostanie
będzie jak płacz kochanków
w małym brudnym hotelu
kiedy świtają tapety*

- Zbigniew Herbert

11 LISTOPADA

Pamiętajmy o Polakach, którzy walczyli o wolność.



Niedźwiedzia przysługa

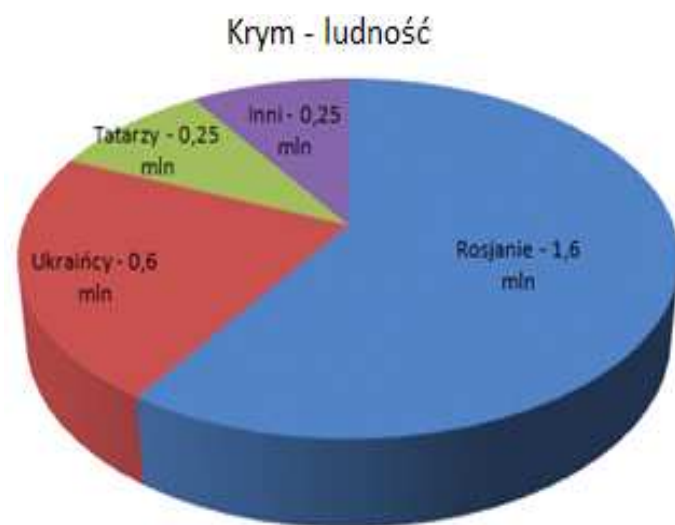
Niedawne wydarzenia na Kaukazie uświadomiły niepoprawnym optymistom, że rosyjski miś to po '91 roku nie wypchane trofeum, ale wyjątkowo zdeterminowany do działania i skuteczny niedźwiedź. Kolejne „uświadomienie” może przyjść już wkrótce.



Pretekst w przypadku Gruzji był niezbyt wyszukany – biorąc pod uwagę rosyjską politykę paszportową. Jednakże, uznając niepodległość Kosowa, Zachód dał Kremlowi jeszcze jeden – naprawdę mocny – oręż dyplomatyczny. Kaukaz, uważany przez Rosję za „szczególną strefę wpływów”, zostałby podzielony i tak - z Kosowem lub bez, z paszportami lub bez. „Żywotne interesy” Kremla są tym bardziej żywotne, że przez Gruzję przechodzić ma ropociąg Baku-Ceyhan, mogący zachwiać potęgą Gazpromu.

Żeby przewidzieć przyszłość Krymu nie trzeba wiele. Wystarczy właściwie rzut oka na jego mapę i strukturę narodowościową.

Ta druga prezentuje się następująco:



źródło: Niezawisimaja Gazeta 4 VII 08



Na podstawie CIA World Factbook

W artykule *Rosja ante portas* (Niezawisimaja Gazeta) Władimir Iwanow stara się nakreślić przyszłość Półwyspu. Wnioski mogą być tylko jedno – Ukraina prawdopodobnie podzieli los Gruzji.

Iwanow pisze: *Scenariusz naszkicowany w lipcu przez analityków z wpływowego think tanku RAND Corporation, przewiduje, że Rosja zaanektuje Sewastopol i zajmie wyspę Tuzłę.* Nie będzie przy tym musiała kombinować z wydawaniem rosyjskiego obywatelstwa, jak czyniono to w przypadku Gruzji. Już teraz większość ludności Krymu stanowią Rosjanie. W marcu 2007 roku 99% mieszkańców Sewastopola opowiedziało się przeciw przystąpieniu Ukrainy do NATO. Dobry pretekst? Idealny. Mało tego – Ukrainę zamieszkuje 17%-mniejszość rosyjska.

WPŁYWOWY THINK TANK RAND CORPORATION PRZEWIDUJE, ŻE ROSJA ZAANEKTUJE SEWASTOPOL ORAZ WYSPĘ TUZŁĘ

Samuel Huntington w swoim proroczym *Zderzeniu Cywilizacji* pisał: (...) *paradygmat cywilizacyjny taką ewentualność [wojna rosyjsko-ukraińska] minimalizuje, podkreśla za to możliwość rozpadu Ukrainy na dwie części za sprawą oddziaływania czynników kulturowych.*

Oczywiście wojny nie będzie – co najwyżej interwencja rosyjskich sił pokojowych (notabene – trudno o lepszy oksymoron) w wyzwaniu uciskanej mniejszości. Wszak swoich obywateli Rosja bronić będzie do

upadłego. W jednym ze swoich felietonów trafnie ujął to Rafał Ziemkiewicz: *pluć w twarz Rosjaninowi może być urzędas, być skorumpowany policjant albo bandzior. Ale obcy – nigdy!*

W Sewastopolu ponadto stacjonuje Flota Czarnomorska - według rosyjsko-ukraińskiej umowy do 2017 roku. Jednak tak strategiczny punkt nad Morzem Czarnym jest dla Moskwy zbyt łakomym kąskiem. Jak twierdzi Wikipedia: (...) *Rosjanie zajmują nielegalnie na terenie Krymu około 4000 obiektów, w tym 10 latorni morskich.*

ROSJANINOWI PLUĆ W TWARZ MOŻE BYLE URZĘDAS, SKORUMPOWANY POLICJANT ALBO BANDZIOR. ALE OBCY – NIGDY!

Zwraca ponadto uwagę jeszcze jeden aspekt sytuacji na Krymie – tzw. trzecia siła. W tym przypadku są to Tatarzy, roszczący sobie prawa do tych ziem. Ich liczne bojówki mogą być sponsorowane przez Rosjan. Charakterystyczne, że po rozpoczęciu wojny w Gruzji ok. 800 demonstrantów pikietowało w Sewastopolu. Zebrani skandowali: „Hańba Saakaszwilemu!” oraz „Hańba Juszczenko!”.

Walka Ukrainy o przyłączenie do „świata Zachodu” wyrasta na najpoważniejszy problem, z jakim muszą zmierzyć się jej przywódcy. Mówi o tym również dokument opracowany przez Ukraińskie Ministerstwo Finansów (*O wewnętrznej i zewnętrznej polityce Ukrainy do 2010 roku*). Niestety niedawny kryzys polityczny i rozłam w łonie „pomarańczowej rewolucji” nie rokuje zbyt dobrze.

Cała nadzieja w tym, że reszcie Zachodu nie zabraknie w przyszłości odwagi, by przeciwstawić się Moskwie. Jednak, jak dotąd, państwa europejskie jedynie się kompromitowały. Początkowo twarde stanowisko zostało zaniechane na rzecz polityki ustępstw i „nie drażnienia” Kremla. Kuriozalna wizyta Sarkozy’ego w Moskwie czy zapowiedź włączenia Gruzji do NATO w przeciągu (aż!) dwóch lat. To na pewno nie to, czego ten kraj oczekiwał. I z pewnością nie to, czego będzie potrzebował Ukraina.

Herman

Giedroyc miał rację

O Europie, Polsce, Wschodzie i polityce międzynarodowej rozmawiamy z posłem Pawłem Kowalem*

Putin jako obrońca uciśnionych mniejszości. Czy ten wizerunek Pana przekonuje?

To - jak rozumiem - prowokacyjne pytanie na dobry początek rozmowy. Sprawy narodowe w Rosji od początku komunizmu, a w zasadzie jeszcze w niektórych okresach za caratu, były traktowane bardzo instrumentalnie. Stalin, posiadający osobiste doświadczenia z Kaukazu, który jest mozaiką wielu narodowości, nieustannie manipulował granicami administracyjnymi, by wprowadzać ferment pomiędzy narodami. Potem, począwszy od lat trzydziestych, rozpoczął się fenomen na skalę światową, czyli wyganianie całych narodów - Tatarów, Polaków, Niemców - z jednego miejsca w inne na terenie Związku Sowieckiego. W fazie zmierzchu imperium rozpoczęły się tzw. "zamrożone konflikty". Władze w Moskwie, świadome zaszczości historycznych, etnicznych, które (zresztą zazwyczaj Związek Sowiecki sam podsyczał lub nawet wykreował), spięły z Rosją poszczególne wolne kraje specyficzną zależnością. Kreml stał się gwarantem dla separatystycznych quasi-państw: w Mołdawii jest to Naddniestrze, w Gruzji Osetia Południowa i Abchazja, w Azerbejdżanie Górski Karabach, który Ormianie traktują jak część Armenii. Dodatkowo w przypadku Ukrainy Rosjanie starają się odegrać podobną rolę na Krymie. Za każdym razem używają argumentacji, że występują w obronie mniejszości narodowych. Jednocześnie nowa Rosja ma już na sumieniu eksterminację Czechenów na swoim terytorium. Kiedy przyszły dogodne, zdaniem Rosji, okoliczności wewnętrzne i międzynarodowe, a Gruzini zapragnęli wejść do NATO, zaś Ukraińcy do UE, Kreml przypomniał sobie o „spinaczach” i je uruchomił. Zadziałało; świat nie zareagował. Fałszywe hasło walki o prawa mniejszości jako przykrywką dla realizacji innych celów towarzyszy historii Rosji od dawna.

Które z pytań jest sensowniejsze: „czy” lub „kiedy” Rosja upomni się o Sewastopol?

Ukraina jest państwem, z którym Rosjanie liczą się bardziej niż z innymi. Bez wątplenia jednak w najbliższym czasie Rosja będzie szukać sposobów ingerencji →

wania w wewnętrzne sprawy Ukrainy. Niektórzy uważają, że już obserwujemy tego rodzaju zjawiska. Jedynym, co mogłoby Rosję i demokratyczny świat uchronić skutecznie od takiej eskalacji, byłaby zdecydowana reakcja Zachodu.

Jak ocenia Pan działania NATO, UE, Zachodu w sprawie Gruzji? Czy mogliśmy zrobić więcej?

Dzięki polskiemu prezydentowi i rządowi na początku sierpnia reakcja NATO i UE były nieco szybsze niż należało się spodziewać na podstawie doświadczenia podobnych kryzysów. NATO powinno było powiedzieć jednak, że przyspiesza proces integracji Gruzji ze swoimi strukturami, tym bardziej, że nikt poważny nie ma przecież wątpliwości, iż prawdziwe tło agresji na Gruzję było związane właśnie z planami rozszerzenia NATO. I stąd powołanie wspólnej komisji niestety nie jest wystarczające. Rosjanie mają prawo mieć poczucie, że strategiczny cel osiągnęli na daleką przyszłość: NATO nie zbliży się w najbliższym czasie do Gruzji. Nicolas Sarkozy, jako prezydencja UE, popełnił kilka poważnych błędów. W rozmowach na Kremlu wykazał się brakiem doświadczenia i wiedzy, bo wydaje się, że wolę miał dobrą. Jednak publicznie przyznał Rosji prawo reagowania za granicą w obronie jej obywateli. Nie zdawał sobie sprawy ani tego, że Rosja nieustannie rozdaje masowo swoje paszporty obywatelom sąsiednich krajów, ani z tego, co podobny postulat oznaczałby potencjalnie nawet dla członków UE, takich jak Litwa, Łotwa, Estonia. Nie wspominam o Ukrainie. Porażką są też dzieje tzw. szóstego punktu z planu pokojowego Sarkozy'ego, czyli tego, który dotyczy Osetii Północnej i Abchazji. Zresztą cały plan nie jest dotąd zrealizowany. Spójrzmy z rosyjskiego punktu widzenia, a potem z brukselskiego. Jest chyba oczywiste, kto jednak cele osiągnął, a kto nie. Odpowiedź chyba jest jasna.

Czy będziemy stanowić prawdziwe zabezpieczenie dla Ukrainy? Jeśli nie uda się powstrzymać szybko polityki Putina-Miewiediewa, to będzie to coraz trudniejsze. Ale w tej sprawie Polska zawsze powinna robić wszystko, co można, bo nasze interesy z Ukrainą w znacznym stopniu są tożsame. W tym sensie Giedroyc i Mieroszewski pozostają aktualni: nie ma naprawdę silnej i niepodległej Polski bez wolnej Ukrainy.

Jaki najbardziej optymistyczny z punktu widzenia Ukrainy scenariusz przyszłych wydarzeń mógłby Pan nakreślić?

Po kolejnych wyborach siły „pomarańczowe” przyciągają dla prozachodniej polityki część niebieskich. Chciałoby przez uświadomienie im, że mogą w tym mieć

także swój interes, zaś oferta rosyjska była już testowana na Ukrainie i nie ma co wracać do tego sposobu myślenia. „Niebiescy” w zamian za to wspierają też wejście Ukrainy do NATO. Zostaje przełamany podział na „dwie Ukrainy”. Nasi partnerzy nie mają wyjścia, wypada im z ręki jeden z głównych argumentów, że Ukraina jest podzielona. Rozpoczynają się rozmowy o wejściu Ukrainy do UE i NATO. Trwają, co prawda, dziesięć- kilkanaście lat, ale kończą się powodzeniem.

A najbardziej optymistyczny z punktu widzenia Krem-la?

Kolejne wybory pogłębiają chaos. Amerykanie osłabiają swoje zainteresowanie polityką europejską, sytuacja w Gruzji rozwija się nadal na niekorzyść Rewolucji Róż. W wyborach prezydenckich na Ukrainie przepadają znani politycy, zwycięża... Szkoda słów, scenariusz może być naprawdę wiele...

Na ile prawdopodobny jest według Pana scenariusz podziału Ukrainy, o którym pisał Samuel Huntington?

Niektórzy uważają, że ciągle jest aktualny. Jestem przekonany, że stratedzy w kilku krajach poważnie biorą go pod uwagę. Sam traktuję ten scenariusz jako pewną intelektualną dywagację. Nie bierze on bowiem pod uwagę tych wszystkich czynników, których nie widać zza katedry na Harvard University czy biurka w Waszyngtonie. Scenariusz ten nie docenia czynników kulturowych i zmian w świadomości ostatnich lat. Każdy dzień wolnej Ukrainy działa jednak na korzyść właśnie Ukrainy, a nie Rosji - tak jak jej interesy zdają się rozumieć niektórzy analitycy Krem-la.

Dużo mówi się o znalezieniu alternatywy dla rosyjskich surowców. Czy wobec postawy Krem-la gazociąg z Baku w ogóle wchodzi w grę, czy jest to raczej myślenie życzeniowe? Co z innymi źródłami?

Ta sprawa staje się coraz trudniejsza. Rosjanie w 2007 i 2008 organizowali antyszczoty energetyczne, konkurencyjne dla spotkań Lecha Kaczyńskiego i przywódców Ukrainy, Litwy, Gruzji, Azerbejdżanu. Pokazali w ten sposób, jak poważnie traktują inicjatywy Lecha Kaczyńskiego. Przerwanie dostaw przez Gruzję było też jednym z motywów sierpniowej agresji. Tego celu Rosjanie nie osiągnęli, jednak myślę, że z niego nie zrezygnują. Rosyjska doktryna jest dość prosta: „Nasz monopol może załamać się wskutek aktywności eksploatacji złóż w Kazachstanie, Turkmenistanie czy Azerbejdżanie. Powinniśmy dążyć, by przesył surowców w krajach dawnego ZSRR do Europy odbywał się w całości przez Rosję”. Nawet minimalne załamanie

tego monopolu wywoła ostrą reakcję Moskwy. W tej doktrynie zawiera się bowiem przekonanie, że wszystkie surowce na terenach dawnego ZSRR są w jakimś sensie rosyjskie. To jakby ekonomiczny wariant teorii o prawostawnym obszarze kanonicznym. Projekty Lecha Kaczyńskiego są realne pod koniecznymi warunkami: pełnego poparcia polskiego rządu- nie tylko w słowach, przynajmniej częściowego poparcia w Europie i minimum przyjaznej neutralności USA oraz stabilizacji politycznej w regionie kaspijsko-czarnomorskim. Wszystko jest możliwe.

Wygląda na to, że niektórzy polscy politycy Rosji się nie boją. W razie ochłodzenia wzajemnych relacji może nam nagle zabraknąć gazu, może też zostać nałożone na nas embargo. Czym jeszcze Rosjanie są zdolni nam pogrozić?

Chyba pan już nie wierzy w solidarność europejską nawet na najniższym poziomie... Aż strach pomyśleć, że tak może być. Doświadczenia z embargiem na mięso są jednak takie, że bardziej konsekwentna i realistyczna w tej sprawie była polityka instytucji europejskich niż rządu Tuska, który miał chyba dobre intencje, ale kompletnie nie był przygotowany do rozmów z Rosją rok temu. Rosji nie trzeba się bać, co dominuje u wielu polityków w Europie. Nie trzeba jej jednak też traktować niepoważnie. Obie te postawy Rosjanie szybko identyfikują jako słabość i jeszcze zaostrzają kurs przeciw Europie, a często także przeciw własnym obywatelom. Władze na Kremlu zasługują by traktować je poważnie i poważnie z nimi rozmawiać.

Rozmawiał Bartosz Bieliszczuk



*Paweł Kowal (ur. 1975): polski polityk, historyk, poseł na Sejm V i VI kadencji, były wiceminister spraw zagranicznych; pełnił również funkcję dyrektora Departamentu Współpracy z Zagranicą i Integracji Europejskiej w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pracował jako ekspert ds. polityki wschodniej w Centrum

Stosunków Międzynarodowych, pełnił funkcję prezesa Klubu Jagiellońskiego, działał także w Centrum im. Mirosława Dzielskiego w Krakowie, był współpracownikiem Ośrodka Myśli Politycznej, gdzie kierował m.in. programem "Państwo Polskie wobec Polaków na Wschodzie". Współpracuje z Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu. Jest asystentem w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk.

Miało być pięknie, wyszło jak zawsze - czyli po Olimpiadzie

Już dawno ogień Olimpijski w Pekinie zgasł, wioska olimpijska została rozmontowana, kramy pozamykane. Czas więc dokonać podsumowania. I bynajmniej nie będę tutaj pisał o politycznych kwestiach związanych z Chinami, nie będę starał się udowodnić mojej tezy postawionej w poprzednim numerze KID-a. Chciałbym za to poruszyć aspekt sportowy.

FRAGMENT RANKINGU MEDALOWEGO:

UKRAINA – 11 MIEJSCE, JAMAJKA – 13, KENIA 15, ETIOPIA – 18. A POLSKA? ZALEDWIE 20

Nie oszukujmy się; polscy sportowcy na tle innych reprezentacji (i wcale nie mam tu na myśli sportowych potęg) wypadli bardzo blado. Bo nikt mi nie wmówi, że takie kraje, jak Ukraina (11 miejsce w rankingu medalowym), Jamajka (13), Kenia (15) czy też Etiopia (18!) mają większy potencjał ludzki, finansowy czy jakkolwiek inny niż Polacy (20).

Wydaję mi się, że istotnym czynnikiem, wpływającym na takie, a nie inne wyniki sportowe, jest ambicja i wola walki zawodników. Nasi jej po prostu (poza kilkoma wyjątkami) w ogóle nie posiadają. Bo jeśli kadre szermierczą bardziej od walki interesują występy medialne i publiczne pranie brudów, to cudów nie oczekujmy. Jeżeli siatkarki czy też siatkarze mają ciągłe pretensje do trenerów o takie, a nie inne decyzje, to nie liczymy, że nagle rozwydrzone dzieci zaczną grać jak zawodnicy. Problem u Polaków (zresztą nie tylko sportowców) jest taki, że wiecznie na coś narzekamy. Nie sądzę, że np. Kenijczyk czy Etiopczyk ma życie usłane różami. Jednak różnica polega na tym, że ich sportowcy wychodząc na stadion, biegnąc, dają z siebie wszystko, a nasi myślą tylko, co w zamian mogą dostać. →

Ale obiecałem podsumowanie, bo przecież w Pekinie była nie tylko polska reprezentacja.

Zadziwiająco dobrze zaprezentowali się chińscy sportowcy, którzy - wydawałoby się - w niszowych dla nich dyscyplinach, odnosili spektakularne sukcesy (m.in. judo). Spełnili marzenia, oczekiwania rodaków i wygrali w ogólnej klasyfikacji medalowej. Z dobrej strony, jak zawsze, zaprezentowali się Amerykanie, choć muszę przyznać, że można było liczyć na więcej... A ocenę kadry USA na pewno zmienia postawa Phelbsa – jednego z najwybitniejszych pływaków w całej historii tej dyscypliny.



Dla mnie jednak „objawieniem” tych igrzysk była Etiopia. Jeden z najbiedniejszych krajów Afryki ledwo zebrał fundusze na wysłanie reprezentacji, a jednak wypadł znakomicie. Etiopczycy zadziwili mnie swoją walecznością i ambicją.

Teraz fanom sportu nie pozostaje nic innego, niż czekać kolejne 4 lata na następne Igrzyska z nadzieją, że tym razem będzie lepiej i że nasi „sportowcy” pokażą wreszcie, na co ich naprawdę stać.

Klasyfikacja medalowa:

I.p.	Państwo	Złoto	Srebro	Brąz	Suma
1	Chiny	51	21	28	100
2	USA	36	38	36	110
3	Rosja	23	21	28	72
4	Wlk. Brytania	19	13	15	47
5	Niemcy	16	10	15	41
6	Australia	14	15	17	46
7	Korea Płd.	13	10	8	31
8	Japonia	9	6	10	25
-	-	-	-	-	-
20	Polska	3	6	1	10

Tempelton

Stalin z krwi i kości

Niebezpiecznie jest ucłowieczać tyrana. Wszelkie operacje na otwartej historii w rodzaju budowania pomników lub ich odbrażawiania są zresztą stąpieniem po cienkim lodzie. Czytając o zbrodniach, zapominamy, że stoją za nimi nie maszkarony rodem z horrorów, ale ludzie – mężowie, ojcowie, przyjaciele. O tym właśnie przypomina Simon Montefiore w książce *Stalin. Dwór czerwonego cara*.

Czy jednak Montefiore ucłowiecza? I tak, i nie.

Niewątpliwie ukazuje całą głębię relacji Stalina z rodziną i bliskimi. Synami, córką – Swietlaną – i tragicznego drugiego małżeństwa. Szczególnie to ostatnie miało ogromny wpływ na ZSRR – pamiętajmy, że od złego humoru Generalissimusa zależało życie aparatczyków czy obywateli. Pozostali członkowie Politbiura - Mołotow, Beria, Malenkow - zostali ukazani w podobny sposób. Sam Wódz lubił pomagać ludziom. Chyba na każdy list z prośbą o wsparcie odpisywał, przysyłał ruble. Kochał dzieci, a najciekawsze jest, że – i tu pole do popisu mają historycy-skandaliści – tylko najmłodsze. Jak wspominają świadkowie, wielkie zainteresowanie Swietlaną znacznie osłabło, gdy trochę wyrosła.

Mimo akcentów „osobistych” czy nawet melodramatycznych jest to książka przede wszystkim historyczna. Tyle że ze znacznie pogłębionym portretem psychologicznym postaci. A przez słowo „znacznie” należy rozumieć tu naprawdę tytaniczną pracę autora (nawiasem mówiąc – ponad 100 stron bibliografii i przypisów). Autor dotarł do listów miłosnych, pamiętników, przeprowadził wywiady ze świadkami i rodzinami. Tą metodą Montefiore do wszystkich wniosków nt. ZSRR doszedł „od kuchni”. O ile w książkach historycznych, opisujących fakty i zdarzenia, zazwyczaj nie widzimy życia prywatnego bohaterów, o tyle tutaj widać, że ma ono bezpośredni wpływ na kluczowe niekiedy decyzje polityczne.

Jesteście dobrym pracownikiem, ale gdybyście spędzili sześć lat w obozach, pracowalibyście jeszcze lepiej
(Beria do naukowca)

Nie ma sensu rozpisywać się o „prawdziwym obliczu” metod NKWD. Trudno też, żeby Montefiore nadał

nowy wymiar wszystkim zbrodniom. Mimo to niektóre opisy zaskakują i szokują okrucieństwem (wyłupywanie oczu, wbijanie haka w potylicę). Zwracają uwagę eufemizmy. Gdy mowa o procesach politycznych, dowiadujemy się, że śledczy „ustalili”. Ciekawe, ilu ludzi przypląciło na przykład życiem każdorazowe „ustalenie”? Zwraca też uwagę specyfika radzieckiego aparatu „sprawiedliwości”, polegająca na zakreślaniu przez aparatczyków nie NAZWISK do rozstrzelania, a ILOŚCI osób.



Swoistym ewenementem była sowiecka nauka. Np. mózg Kirowa (podobnie jak Lenina) badano w Instytucie Leningradzkim, by „znaleźć w nim oznaki rewolucyjnego geniuszu”.

Stalin był teraz tak wszechpotężny, że kiedy się przejęczył, wygłaszając przemówienie, następny mówca powtórzył ten sam błąd. „Gdybym powiedział to dobrze – wspominał Mołotow – Stalin mógłby pomyśleć, że go poprawiam”.

Mówiąc o ZSRR Ryszard Legutko rzucił kiedyś, że były to rządy chamów. *Najzwyklejszych chamów i prostaków, którzy w życiu nie przeczytali nawet książki. Cze-*

go by jednak o Stalinie nie powiedzieć, był człowiekiem dobrze wykształconym (choć nie sensie formalnym). Pasjonował się historią, poezją, literaturą, teatrem i baletem. Mimo wszystko pozostał jednak zbrodniarzem, chamem i fatalnym przywódcą.

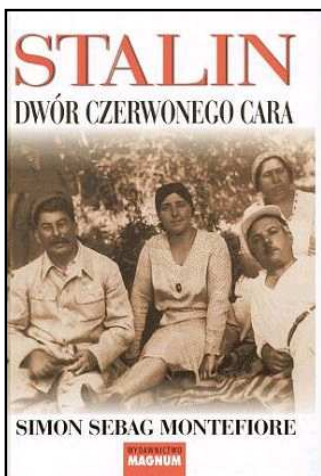
KIEDY STALIN PROSI DO TAŃCA, MĄDRY CZŁOWIEK TAŃCZY - NIKITA CHRUSZCZOW O PRZYJĘCIACH U STALINA

Jednak reszta jego świty to już rzeczywiście prostaki na przemian z fanatykami – podręcznikowy przykład ochlokracji. Szewc decydował o sztuce, ludzie bez wykształcenia roztrząsali problemy gospodarcze, kilka miesięcy przed inwazją niemiecką sztab generalny uznał, że *przecenia się rolę czołgów we współczesnej wojnie (!)*. Albo „proletariackie” manieri Chruszczowa, który lata później, przemawiając na forum ONZ, ude-rzał w mównicę zdjętym butem.

Czerwony dwór jak żywo przypominał ten szekspirowski. Sieci intryg i zdrad przeplatała się na każdym szczeblu władzy, zaś wszystkim niemal towarzyszył strach. Tym, czym u Andrzeja Sapkowskiego było „król zmarł na ostre zapalenie płuc” (czyt. sztylet wbity pod żebra), tym w ZSRR był „atak serca”. Większość niewygodnych bolszewików zmarła właśnie z powodu „ataku serca”. Niech o paranoi Stalina świadczy list kondolencyjny, który wysłał żonie Roosevelta po jego śmierci. Zaofiarował on pomoc swoich najlepszych ludzi w złapaniu „trucicieli”. Czy był to jedynie przejaw czarnego humoru? Śmiem wątpić.

Co ciekawe, najbardziej odrażającą postacią w całej tej zgrai nie jest Stalin czy nawet Jeżow. Jest nią Beria. Wielu czerwonych zbrodniarzy naprawdę wierzyło w komunizm, mordując w imię idei. Znalazła się jednak pośród nich czarna owca. Beria jest niesamowitym wręcz przykładem oportunisty, gotowego sprzedać własną matkę. Nie dla idei, a dla swojej pozycji. →

Gdyby była to postać fikcyjna, uznałbym, że jest zdecydowanie przerysowana. Jednego dnia gotów jest osobiście torturować ofiary w imię komunizmu, drugiego zaś bratać się z samym diabłem – USA. Zawistny, podły, pamiętliwy, a przy tym tchórzliwy – pospolity szuja. Groteskowa scena śmierci Stalina: Wódz zamyka oczy, zdaje się, że to już koniec. Podniecony Beria wykrzykuje: „Wykończyłem go!”. Gdy tuż po tym Stalin otwiera oczy, przewiercając go spojrzeniem, ten rzuca się do rąk umierającego, całując je. Jak na ironię to właśnie Beria mógł przejść do historii jako rozsądny i liberalny przywódca. Był otwarty na współpracę ze Stanami, szykował amnestię dla większości więźniów (sic!), chciał nadać państwu ZSRR częściową autonomię i zliberalizować gospodarkę. Swe pomysły zreferował tuż po śmierci Stalina. Bezwzględny pragmatyk, który przywdziewa raz szaty bolszewizmu, raz liberalizmu, by służyć przede wszystkim sobie (ojczyźnie?). Chyba niestety zbyt często to właśnie tacy ludzie stają się mężami stanu, realizując swoją machiawelską politykę.



Większą część książki czyta się z przejęciem/przeżeniem. Ironiczne komentarze prowokują natomiast opisy „kunsztu” bojowego Armii Czerwonej. Oto jeden z dowódców stwierdził podczas wojny zimowej, że front został zaskoczony obecnością w Finlandii... lasów (!). Z

Finami zresztą czerwonoarmiści radzili sobie bardzo słabo. *Drugiego marca Mechlis* [Lew Mechlis, komisarz wojenny - Herman] *rozpoczął swój „wielki koncert”, który okazał się szaleńczym apogeum indolencji i lekceważenia podstawowych zasad sztuki wojennej. Zabronił kopania okopów, „aby nie osłabiać ofensywnego ducha żołnierzy”.* Inny z generałów – Tuchaczewski – został oskarżony o sabotaż. Jego winą był plan utworzenia dywizji pancernych. Akt oskarżenia skwitował słowami: „Ja chyba śnię”. A wszystko to tuż przed niemiecką inwazją.

Jeszcze jeden, raczej oczywisty, acz czasem niedostrzegany wniosek: Stalin NIE BYŁ wybitnym przywódcą.

Był za to bezwzględny i cwany politykiem. Jednak nie każda silna dyktatura równa się wielkości. A z pewnością nie ta dyktatura. Co bowiem możemy powiedzieć o wodzu, który „wie” lepiej od wojskowych, jaką długość powinny mieć działa oraz w jaki sposób produkować samoloty? „Wielkość” Stalina to w istocie siła i potencjał ZSRR - duża populacja, zasoby naturalne. Natomiast wszelkie „sukcesy” okupione były nieprawdopodobnym wręcz kosztem. Czy sukcesem jest prowadzić ku zapaści największe mocarstwo świata? W innym, mniejszym państwie podobne rządy lub taktyka wojskowa skończyłyby się katastrofą. Zwyczajnie zabrakłoby ludzi i pieniędzy.

DWUDZIESTEGO DRUGIEGO SIERPNI 1946 STALIN SŁUCHAŁ PROGNOZY GODY I ZIRYTOWAŁO GO, ŻE JEST CAŁKOWICIE BŁĘDNA. DLATEGO ROZKAZAŁ WOROZYŁOWOWI PRZEPROWADZIĆ DOCHODZENIE I USTALIĆ, CZY WŚRÓD METEOROLOGÓW NIE MA PRZYPADKIEM „SABOTAŻYSTÓW”

Trudno mi oddać w recenzji ogrom pracy autora *Dwór czerwonego cara* .i jego perfekcyjny warsztat literacki. Na każdej stronie tej książki widać autentyczną pasję jej twórcy. *Dwór...* czyta się na przemian w napięciu, z niedowierzaniem i zaciekawieniem. Nie ma tu mowy o nudnej „topologii historycznej”. Przez całe ponad 600 stron nie zauważyłem ANI JEDNEGO banału czy oczywistości. Mam tu na myśli fakt, że dzieła zachodnich historyków bywają dla Polaków momentami właśnie powtarzaniem oczywistości. Nie wystrzegła się tego np. Anna Applebaum w swoim (notabene świetnym) *Gulagu*. Zaś ostatni akapit komentujący rosyjską mentalność jest wręcz genialny. GORĄCO POLECAM.

Herman

Tam był tylko strach - o twórczości Martina Scorsese

W dzisiejszych czasach słowo „gangster” kojarzy się zazwyczaj z obwieszonym złotem Murzynem z West Coast. Co bardziej kumaci skojarzą to określenie z Marlonem Brando z filmu *Ojciec Chrzestny* F. F. Coppoli czy powieścią M. Puzo. O ile zarówno książka, jak i film o rodzie Corleone, są wspaniałymi dziełami, o tyle przedstawiają równie wspaniały świat. Pomimo bezwzględnej walki między rodami jest tu miejsce na lojalność i uczucia. Piękna i romantyczna to wizja. Ale znalazł się w końcu ktoś, kto zdecydował się ów idylliczny obraz nieco zaburzyć.



Jeden z byłych członków włoskiej mafii, zapytany kiedyś o jej prawdziwe oblicze, powiedział: *Strach. Tam był strach i tylko on to wszystko trzymał.* Świetnie ilustrują te słowa obrazy **Martina Scorsese** - zapewne mniej znane niż *Ojciec Chrzestny*, ale według wielu - w tym mnie - „o niebo lepsze”.

Henry, główny bohater *Chłopców z ferajny* jest potomkiem irlandzkich imigrantów. W młodym wieku nawiązuje kontakt z półświatkiem. Początkowo parkuje wozy gangsterów balujących w pobliskiej pizzerii (którzy wydają mu się bardzo sympatyczni, a przy tym wszechpotężni), a następnie pnie się coraz wyżej w hierarchii. Z czasem dołącza do grupy, „traci dziewictwo” (jak określa się w tym środowisku pierwszą odśiadkę), bierze udział w napadach i ściąga haracze.

Scorsese demitologizuje. W jego filmie narrator (sam Henry, choć czasami jest „wspierany”) trochę ironicznie opowiada o kolejnych etapach swojego życia. Jak się okazuje, rzeczywiście „tylko strach”, pieniądze i siła „trzymają” całą grupkę przyjaciół razem. Gdy powstaje perspektywa wielkich pieniędzy - związanych z handlem narkotykami - ujawniają się pierwsze pęknięcia mafijnego monolitu. „Dragi” pojawiają się zresztą w podobnym kontekście w *Ojcu Chrzestnym*, co odpowiada realiom ówczesnej Ameryki. Po latach fortun wyrosłych dzięki prohibicji i hazardowi przyszedł czas na jeszcze szybszy, ale za to bardzo ryzykowny zarobek.

W *Chłopcach...* zapadają w pamięć bardzo realistyczne sceny przemocy i zabijania „dla zabawy”. Przykładem, obrazującym specyfikę dzieła Scorsese, jest scena masakrowania twarzy Billy’ego Batts’a w rytm romantycznej ballady *Atlantis* zespołu Donovan. W parze z sugestywną przemocą idzie również ryszokowy język. Pismo Kultura naliczyło 246 przypadki użycia słowa „fuck” w rozmaitych kombinacjach.

Zwraca uwagę perfekcyjna gra aktorów. Jak dowiedziałem się już po obejrzeniu *Chłopców...*, większość scen to improwizacje poszczególnych wykonawców. Zdaje się, iż rzeczywiście obserwujemy prawdziwe wydarzenia z perspektywy przechodnia. Świetne dialogi i (czarny) humor sytuacyjny dopełniają realizmu dzieła. Policzek wymierzony Henry’emu przez jego szefa, tuż po soczystym kazaniu, to również improwizacja. Zdziwiona i przerażona mina bohatera jest jak najbardziej autentyczna. Około 90% historii z filmu (jak twierdzi „prawdziwy” Henry - Henry Hill - na którego biografii opierają się *Chłopcy...*) jest prawdziwych. Podobnie rzecz się ma z *Kasynem*.

Ujrzymy tutaj kilka znajomych twarzy. W *Chłopcach z Ferajny* grali przecież Robert De Niro, Joe Pesci i Frank Vincent. Akcja filmu toczy się wokół kariery i upadku, Sama Rothsteina (De Niro), któremu bossowie zlecają prowadzenie przybytku hazardu w Las Vegas.

Kasyno to jego pełne intryg prywatne królestwo. Mimo że jest tu władcą, jego potęga to iluzja. Balansuje na granicy prawa, każde potknięcie może wiązać się z odebraniem koncesji. Zaś o „potknięcie” łatwo, gdy w kasynie zjawiają się gangsterzy, politycy czy inni „dobrze postawieni”. Samo kasyno przypomina zaś →

rój pszczoł, jednak zatrudnieni nie myślą jedynie o pracy. Niemal każdy, począwszy od ciecia parkingowego, a na administracji skończywszy, kradnie. Nad wszystkim zaś górują mityczni bossowie – o niemal boskich atrybutach. To oni obsadzili Rothsteina na stanowisku szefa i domagają się comiesięcznych dochodów oraz „nie rzucania się w oczy”. Z kasynem komunikują się za pomocą wysłanników – którzy niczym Hermes z Olimpu – obwieszczają o woli swoich panów i przemawiają w ich imieniu.

Podobnie jak w *Chłopcach...* główny bohater to jednocześnie narrator - równie ironiczny - zaś cały film niepozbawiony jest identycznego humoru. *Gdy chciałeś zakopać denata na pustyni* – opowiada Rothstein – *musiałeś mieć gotowy dół zanim przyjechałeś. Jeśli kopateś po przyjechaniu, zawsze ktoś przypadkiem się przypatętał i zanim się obejrzałeś musiałeś kopać dwa, trzy albo i więcej dołów.*

**DLA NAS, KAŻDY INNY SPOSÓB ŻYCIA
TO BYŁA GŁUPOTA. WEDŁUG NAS, PO-
RZĄDNICCY, KTÓRZY MIELI GÓWNIANE
PRACE ZA GÓWNIANE PIENIĄDZE...
JEŹDZILI METREM DO ROBOTY I MAR-
TWILI SIĘ O RACHUNKI, BYLI MARTWI.
TO BYLI FRAJERZY. FACECI BEZ JAJ. JAK
CZEGOŚ CHCIELIŚMY, TO PO PROSTU
TO BRALIŚMY - HENRY**

W *Kasynie* pojawia się bardzo ciekawy, rozbudowany wątek – romansu i małżeństwa Rothsteina z Ginger. To wnikliwe studium relacji zakochanego mężczyzny ze – cytując Bogusława Lindę – „złą kobietą”. Rothstein, manipulowany i okłamywany, popada w coraz większą nerwicę, partnerka zaś ciągle kocha – pienią-

dze. Ginger McKenna została niezwykle sugestywnie (nominacja do Oscara) zagrana przez Sharon Stone.



Robert De Niro w *Kasynie*

Trudno oczekiwać po aktorach pokroju De Niro czy Stone, by grali słabo, jednak wszystkich ich deklasuje Joe Pesci (notabene – Oscar za rolę drugoplanową w *Chłopcach...*). W obydwu obrazach wciela się w role nieobliczalnych i brutalnych psychopatów. Jego wybuchy są tak spontaniczne i naturalne, że włos się jeży na głowie. Z usposobieniem kontrastuje zaś jego wygląd i postura – niski, z kręconymi czarnymi włosami i nosowym charakterystycznym głosem. Jednak nawet najmniejsza oznaka lekceważenia może skończyć się tragicznie. Przekonał się o tym m.in. jeden z klientów kasyna, na którym bohater przeprowadził tracheotomię długopisem - za chamską odzywkę.

Zarówno *Chłopców z Ferajny*, jak i *Kasyna*, nie wieńczy się „happy end”. Gdy życie bohaterów, będących dotąd na szczycie, zaczyna się walić, powoli przypominamy sobie, że w półświatku nie ma postaci pozytywnych. Nawet Henry, który ostatecznie wyrwał się z tej matni, budzi obrzydzenie. Śledząc jego losy, utwierdzamy się w przekonaniu, wokół czego kręci się ten świat – wokół pieniędzy i władzy. I niestety nie zmieni tego ani świetna rola Brando, ani wyidealizowana wizja Puzo/Coppoli.

Herman





KYLIE MINOGUE – „X”

Po ciężkiej walce z rakiem czterdziestoletnia piosenkarka Kylie Minogue wraca ponownie na muzyczną scenę z dziesiątą płytą z kolei. Jeszcze świeże dzieło piosenkarki jest jednym z najlepszych w jej karierze. Pełne nowoczesnych, rytmicznych brzmień samo porywa nie tylko do słuchania, ale i do tańca.



Wcześniejsza płyta Kylie *Body Language* odniosła wielki sukces, chociaż na pewno nie tak wielki jak *Fever* z singlem *Can't Get You Out of My Head*. Z tym większym zniecierpliwieniem fani czekali na nową płytkę Kylie. Pełna tanecznych hitów *X* na pewno ich nie zawiedzie.

Każdy z utworów znajdujących się na tej płycie pokazują nam inną twarz piosenkarki. Singiel promujący płytę *X – 2 Hearts* ukazuje nam uwodzicielską i seksowną Kylie, zaś znany wam na pewno utwór *In my arms* ukazuje Kylie spontaniczną i pełną energii. Nie trzeba z resztą przypominać, że właśnie ten kawałek przez długi czas utrzymywał się na szczycie list przebojów wielu stacji radiowych. Kolejnym równie przebojowym kawałkiem jest *All I see*. Niesamowicie rytmiczny i melodyjny szybko wpada w ucho. Między innymi i tym utworem piosenkarka udowodniła wszystkim, że w stu procentach może sprostać dzisiejszym wymaganiom – nie ukrywajmy – bardzo kapryśnych słuchaczy. Na krążku znajdzie się również trochę elektro np. *Speakerphone*, *Heart Beat Rock* lub *The One*. Ostatni utwór *Cosmic* łagodnie i subtelnie zamyka listę trzynastu wspaniałych, nowoczesnych i różnorodnych hitów.

Płyta przesiąknięta jest pozytywną energią. Po setnym przesłuchaniu płyty i tak czuje się niedosyt. Kylie pokazała, że dalej może lśnić jak diament. Właśnie taką Kylie fani uwielbiają.

Ewelina Sieńko

Japoński desant – anime i manga

Nie sposób nie zauważyć i obojętnie potraktować fenomenu japońskiej popkultury. Wdzierając się na europejski rynek, przyniosła ze sobą nowy styl cechujący się nieznaną dotąd oryginalnością. Coraz większym zainteresowaniem cieszą się *j-music*, *manga*, *anime*, a prawdziwego fana *harajuku-style* nie można pomylić z przedstawicielem innej subkultury. Na czym zatem polega to nowe, dla niektórych wciąż obce zjawisko?



Zaczynając pisać o *mandze* i *anime*, należy, najpierw wytłumaczyć, co łączy oraz dzieli te dwa terminy. Najprościej rzecz ujmując, *manga* to komiks japoński, natomiast *anime* (skrót od angielskiego *animation*) jest serialem animowanym, najczęściej powstałym właśnie na podstawie *mangi*. W Japonii za *anime* uznaje się praktycznie wszystkie seriale i filmy powstałe nie tylko w tym kraju, a także po za jego granicami. W Polsce znaczenie tego słowa posiada inny wydźwięk, ponieważ odnosi się tylko i wyłącznie do japońskich animacji. Tematyka *anime* lub animców - jak żartobliwie określają je fani - jest różnorodna i skierowana nie tylko do dzieci i młodzieży, ale także do dorosłych.

Ktoś, kto nie oglądał nigdy żadnego *anime*, a swoją wiedzę na ten temat opiera jedynie na znajomości Pokémonów, powie, że są to bajeczki dla dzieci. →

Nic bardziej mylnego! Fakt, łatwo jest pomylić japońską animację ze zwykłą bajką, jeśli większej uwagi nie zwróci się na samą fabułę, a jedynie na kreskę, która niekiedy może skojarzyć się z tą „bajkową”. Najważniejszy w *anime* nie jest jednak sam wygląd postaci, ale w szczególności tematyka danej serii. Wiele z nich nadaje się do oglądania przez odbiorców szerokiej grupy wiekowej, niektóre jednak skierowane są do określonej publiczności. I na pewno nie są to dzieci. Czy 5-letnie dziecko bowiem zrozumie złożone dylematy moralne? Przykład z brzegu - postępowanie jednostki pragnącej wprowadzić pokój na świecie poprzez zabicie wszystkich złych ludzi? Czy dziecko w sposób filozoficzny podejzie do problemu wszechobecnej i coraz bardziej wywierającej wpływ na życie człowieka techniki lub doceni i zachwyci się sztuką walk samurajskich? Odpowiedź może być jedna. Łatwiej jednak być obiektywnym, jeśli samemu zapozna się z tematyką danego *anime*, może nawet odpowiadającemu jakiemuś z Waszych zainteresowań?

MANGI W POLSCE W ŻADNYM RAZIE NIE UWAŻA SIĘ ZA PEŁNOPRAWNY GATUNEK SZTUKI

Wśród tak różnorodnej tematyki nawet najwybredniejszy widz znajdzie coś dla siebie, bez względu na to czy lubi komedie, filmy akcji, a może romanse. Niektóre *anime* charakteryzuje nawet wielopokoleniowość sprawiająca, że humor cechujący choćby kultowego już *Naruto* śmieszy nie tylko mnie, moją starszą o 12 lat siostrę, ale nawet mamę! Bardziej wymagającym widzom, którzy oprócz fabuły cenią także wszelkie inne doznania artystyczne, *anime* oferuje bardzo ważny element wpływający na całokształt serii - muzykę. Jest ona bardzo ważnym narzędziem artystycznym.

Każdy odcinek rozpoczyna *opening*, a kończy *ending*, często przedstawiający zarys fabularny. Łatwo więc mogą zainteresować widza, szczególnie, gdy pokazywanym obrazom towarzyszy dobra muzyka. W tym aspekcie znowu mamy do czynienia z dużą różnorodnością, bowiem *openingi* i *endingi* to nie tylko łatwo wpadające w ucho popowe kawałki, ale także rock, metal, a nawet... muzyka poważna. Wykonywane są najczęściej przez znanych japońskich muzyków i zespoły, co niewątpliwie podnosi prestiż danej animacji. Każda seria ma również własną ścieżkę dźwiękową dopasowaną do tematu i klimatu, w jakim utrzymane jest *anime*. Stanowi więc swoisty komentarz do prezentowanych wydarzeń i wydaje się być niezbędna tak jak muzyka w filmie. *Anime* to także wyjątkowi bohaterowie, których można pokochać tak bardzo, jak postacie książkowe, dla niektórych często stają się wzorcem, kimś, z kim można się utożsamiać. Zależy to jednak od osobistych upodobań i sympatii, a w tym aspekcie *anime* znowu zaskakuje nas swoją różnorodnością. Nietrudno jest znaleźć postać, która w jakiś sposób zafascynuje nas swoim zachowaniem, historią, ideologią czy... wyglądem. Warto zatem samemu przekonać się, czym tak naprawdę jest *anime*, a dopiero potem stwierdzić i ocenić, czy zasługuje na potęgę, czy jednak na szczególną uwagę.



Z pojęciem *anime* wiąże się - wcześniej wspomniana - *manga*. Nie oznacza to, że każdy, kto ogląda *anime*, czyta też *mangę* i na odwrót. Oba te zainteresowania wiążą się jednak ze sobą w sposób niemal nierozdzielny, ponieważ to najczęściej *manga* jest podstawą i inspiracją do stworzenia *anime*. Gatunki *mang* są podobne do gatunków *anime*, są zatem skierowane do tak samo szerokiej publiczności, w różnej grupie wiekowej. *Manga* budzi dość dużo kontrowersji, ponieważ - mówiąc potocznie - czyta się ją „od tyłu”, od strony prawej do lewej. Wynika to z tego, że język

japoński pisany jest od prawej do lewej. Można więc powiedzieć, że Japończycy, wydając *mangę* w taki, a nie inny sposób, postanawiają zachować tradycję, a wszelkie zmiany pisowni i publikacji nie są przez nich entuzjastycznie przyjmowane. Zjawiskiem wartym szczególnej uwagi jest *dōjinshi*, *manga* tworzona przez fanów obdarzonych dużą wyobraźnią, a także talentem rysowniczym. Historie przedstawione w tej odmianie *mangi* są nawiązaniem do jej pierwotnej tematyki; często w sposób humorystyczny przedstawiają relacje między poszczególnymi bohaterami, rozwijają niedokończone lub pominięte wątki, a także opowiadają o całkiem nowych przygodach postaci. Fenomen *dōjinshi* polega na tym, że fan nie jest tylko biernym widzem, ale staje się także autorem własnej *mangi* lub krótkiej historii, która może zostać nawet wydana. Najprościej rzecz ujmując, jest ona tworzona „od fanów dla fanów”. Któż bowiem nie chciałby inaczej pokierować życiem swojego ulubionego bohatera, albo konkretne wydarzenie przedstawić z trochę innej perspektywy?

Wbrew panującemu przekonaniu głoszącemu, że *otaku* (określenie fana m&a,) to zepsuta i agresywna młodzież, zachowanie samych zainteresowanych bardzo odbiega od przyjętego stereotypu. Niestety, wiedza społeczeństwa na temat *mangi* i *anime* jest wciąż bardzo powierzchowna, opiera się jedynie na artykułach przeczytanych w gazetach i nielicznych reportażach. Na podstawie tak pobieżnych informacji nie trudno wyrobić sobie zdanie, które niekoniecznie musi być obiektywne i prawdziwe. Najczęstszym zarzutem jest to, że m&a to także tematyka erotyczna, a nawet pornograficzna. Nie jest jednak tajemnicą, iż takie wydawnictwa przeznaczone są dla widzów dorosłych i z całą pewnością nie nadają się dla dzieci. Pojawia się więc pytanie skąd w ogóle pomysł na ukazywanie seksu za pomocą obrazu czy animacji. Jedyna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, to „a dlaczego nie?”. Skoro krew, przemoc oraz seks widzimy w prawie każdym filmie, to dlaczego nie pokazywać go także w takiej formie? Kolejny wniosek jest także bardzo prosty, może nawet banalny- seks się sprzedaje, sprzedaje się wszędzie, nie tylko w Japonii, ale w każdym innym miejscu na świecie. Potwierdzenie tych słów niech stanowi fakt, iż *mangi* o tematyce erotycznej mają wielu odbiorców poza granicami tego kraju, ich tworzenie jest więc nastawione również na zysk. Trze-

ba też zwrócić uwagę na to, że Japończycy mają całkowicie inną mentalność niż my. Nie mając styczności z tą kulturą i wychowaniem, nie jest się w stanie zrozumieć ich podejścia do tej sprawy. Najprościej mówiąc-



w Japonii nie jest to temat tabu, z którym trzeba się kryć, wstydić czy nawet bać się o nim mówić. Jest to jak najbardziej normalne i naturalne, nieważne w jakiej formie i przekazie. Bierze się to jednak stąd, że większość osób, szczególnie w Polsce, wciąż kojarzy

animację z bajką dla dzieci, a komiksu w żadnym razie nie uważa za pełnoprawny gatunek sztuki.

Mówiąc o *otaku*, należy w szczególności wspomnieć o tym, iż nie jest to zamknięta grupa, swoje zainteresowania rozwijająca jedynie przed komputerem, w „wirtualnej rzeczywistości”. Fani spotykają się nie tylko w Internecie, na licznych forach poświęconych ich hobby, ale także poza nimi, na zjazdach zwanych konwentami, a także na spotkaniach indywidualnych bądź grupowych. Konwent jest to zjazd fanów *mangi* i *anime* z całej Polski, organizowany w miastach takich, jak Warszawa, Kraków, Toruń czy Wrocław. Na czas imprezy wynajmowana jest najczęściej szkoła bądź ośrodek kultury (w Krakowie np. Solvay), a cały zjazd trwa 2 bądź 3 dni. Cieszą się one ogromnym zainteresowaniem, tak więc dwudniową wejściówkę na konwent trzeba zarezerwować przynajmniej z dwumiesięcznym wyprzedzeniem. Fani, którzy na konwent wybierają się jedynie na 1 dzień bądź nie zarezerwowali miejsca, skazani są na stanie w potężnych kolejkach, nie mają też pewności, czy na pewno na imprezę się dostaną. Największymi atrakcjami konwentu są liczne konkursy, panele, rozmowy tematyczne ograniczające się nie tylko do m&a, ale także prezentujące kulturę japońską, projekcje *anime* oraz filmów, stoiska, karaoke, a co najważniejsze - *cosplay* (ang. *costume playing*). W najprostszym ujęciu *cosplay* jest to przebieranie się za postacie z *mangi* i *anime*. Wspaniałe stroje, oryginalne pomysły, radość tworzenia własnego przebrania, przeobrażenia się w swoją ulubioną postać, to tylko niektóre z zalet *costume playing*. *Cosplay* to nie →

tylko zaprezentowanie swojego stroju publiczności, ale także małe przedstawienie, humorystyczne (choć nie tylko) scenki prezentujące wydarzenia z m&a, ujęte w sposób niekonwencjonalny i intrygujący. Cosplayowicze tworzą nową historię, wydarzenia przez nich prezentowane często paradoksalnie odbiegają od tych ukazanych w m&a, co potwierdza, że mają dystans do tego, co robią, a swoje zainteresowanie potrafią traktować nie tylko poważnie, ale również „z przymrużeniem oka”. To właśnie swoboda w tworzeniu i możliwość odgrywania ról, sprawiają, że *cosplay* jest punktem centralnym każdego konwentu, a bez niego straciłby on swój wyjątkowy wymiar.



Dostępność *mangi* i *anime* w Polsce jest coraz większa głównie dzięki Internetowi. Nie jest to jednak jedyne miejsce rozwoju japońskiej animacji i rysunku. W naszym kraju zapotrzebowanie na to wyjątkowe zainteresowanie ciągle wzrasta, dlatego też telewizje AXN Sci-Fi, Canal+, czy 4fun TV postanowiły poszerzyć swoją ofertę programową o tytuły takie jak *Death Note*, *Blood+*, *Samurai Champloo* czy *Ergo Proxy*. Fani entuzjastycznie przyjmują każde pozytywne zainteresowanie m&a. Nie jest ono jednak tak wielkie i powszechne, jak np. we Francji. Także gazety młodzieżowe zwróciły uwagę swoich czytelników na to wyjątkowe hobby, publikując artykuły o znanych japońskich zespołach muzycznych. Ukochaną *mangę* można rów-

nież znaleźć na półce w Empiku, a o nowościach ze świata japońskiej popkultury przeczytać w miesięczniku Otaku. Mimo coraz większego fenomenu m&a społeczeństwo wciąż niewłaściwie patrzy na *otaku* i ich szczególne hobby. Nikt bowiem nie zauważa, że m&a jest dla większości fanów furką do zainteresowania samą Japonią oraz jej wyjątkową kulturą. Wielu *otaku* podejmuje się próby przyswojenia sobie języka japońskiego, niektórzy nawet swoją przyszłość wiążą z tym krajem, wybierając kierunek studiów, jakim jest japonistyka. Warto zatem podkreślić, iż fana *mangi* i *anime* można ujrzyć nie tylko przed komputerem, ale także w miejscach takich, jak na przykład Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie.

(dokończenie – w następnym numerze)

Justyna Kmieciak

Słowniczek*

Niektóre z gatunków *anime* & *manga*:

Shōnen - przeznaczone dla chłopców (zawiera sceny walki, silnych i odważnych bohaterów)

Shōjo - tworzone z myślą o zainteresowaniach dziewczyn

Seinen - a&m dla młodzieży (najczęściej powyżej 15 roku życia)

Sentai - a&m, w którym główne postacie to superbohaterowie

Mecha - przedstawia walki robotów

Mahō shōjo - a&m o bohaterkach obdarzonych nadzwyczajnymi zdolnościami

Mahō shōnen - a&m, w którego bohaterowie posiadają nadprzyrodzone zdolności

Ecchi - charakteryzuje się wyszukany humor erotycznym, nie zawiera jednak scen erotycznych

Yaoi - przedstawia związek między dwoma mężczyznami

Yuri - gatunek m&a ukazujący miłość dwóch kobiet

Hentai - przeznaczony dla odbiorców powyżej 18 roku życia ze względu na tematykę erotyczną

Bishōnen - jap. „piękny chłopiec”; postacie bishonenów często pojawiają się w m&a i cieszą się dużą popularnością głównie ze względu na swój wygląd (damski odpowiednik- bishōjo)

*Przy opracowywaniu słowniczka wspomagałam się Wikipedią.

Warto obejrzeć

Death Note



Osoba, której imię i nazwisko zostaną zapisane w tym notesie, umrze.

Light Yagami to uczeń obdarzony wyjątkowymi zdolnościami- ambitny, zdolny, zawsze osiąga najlepsze wyniki w nauce. Pewnego dnia znajduje upuszczony przez boga śmierci notatnik o tajemniczej nazwie *Death note*. Przypuszczając, że notatnik to zwykły dowcip, używa go tylko i wyłącznie z czystej ciekawości. Jego życie odwraca się do góry nogami, gdy główna zasada *death note*'a staje się faktem. Z pomocą notatnika śmierci Light postanawia stworzyć nowy, lepszy świat, pozbawiony zła i przestępców. Czy w realizacji jego utopijnej wizji przeszkodzi mu genialny detektyw „L”, próbujący rozwiązać zagadkę tajemniczych śmierci przestępców? Kto wygra heroiczną walkę dobra ze złem i jak cienka okaże się granica między tymi dwoma pojęciami?

Szybka akcja, świetna kreska, wspaniała muzyka oraz barwne postacie. Polecam tę serię z czystym sumieniem; jest to jedno z najlepszych i najbardziej wciągających *anime*, jakie oglądałam.

Samurai Champloo



Pewnego dnia nastoletnia dziewczyna Fū poznaje dwóch wojowników- ekscentrycznego wędrowca Mugena oraz samuraja Jin'a. W wyniku serii przypadkowych zdarzeń ratuje im życie i stawia przed nimi warunek: mają jej pomóc odnaleźć samuraja, który pachnie jak słoneczniki. Razem wyruszają w daleką podróż, spotykając na swojej drodze coraz to nowsze przeszkody i wyzwania, a także ludzi, którym czasem całkiem nieświadomie pomagają. Co z tego wyniknie? Na pewno 26 odcinków wspaniałych pokazów walk samurajskich, śmiechu oraz wzruszeń. *Anime* to polecam nie tylko miłośnikom samurajów, ale także... wszystkim wielbicielom hip-hopu. Myślicie, że to połączenie jest niemożliwe? Przekonajcie się sami!

D. Gray-man



Głównym bohaterem *anime D. Gray-Man* jest Allen Walker, z pozoru zwyczajny piętnastolatek. W rzeczywistości Allen posiada niezwykle zdolności pomocne w walce z wysłannikami demonicznego Milenijnego Earla, który zamierza oczyścić Ziemię z rasy ludzkiej. Chłopak postanawia wstąpić do Czarnego Zakonu, organizacji, która podjęła walkę z Earlem oraz →

sprzymierzonym z nim klanem Noah. Walker staje się Egzorcystą, „wybrańcem Boga”, narażającym życie, aby chronić innych przed okrucieństwem świata. W Czarnym Zakonie poznaje również innych Egzorcystów, którzy z czasem stają się jego wiernymi przyjaciółmi i towarzyszami w tułaczce po świecie. *Anime* na pewno niepozbawione ciekawej i wciągającej fabuły, wpadającej w ucho muzyki, świetnego humoru i postaci, które po prostu urzekają swoim zachowaniem, wyglądem i umiejętnościami. Z pozoru może się wydawać, iż jest to typowa seria *shōnen*, przeznaczona tylko dla chłopaków. Nic bardziej mylnego! Dziewczyny, zachęcam do oglądania choćby ze względu na boskiego Kande oraz innych przystojnych bohaterów.

Rosario+Vampire



Aono Tsukune jest zwykłym nastolatkiem, któremu z powodu słabych ocen nie udaje się dostać do żadnej dobrej szkoły. Dziwnym trafem zdobywa dokumenty do placówki o tajemniczej nazwie Yokai Gakuen. Ma mieszane uczucia, ponieważ szkoła okazuje się miejscem mrocznym i przerażającym... Jego obawy szybko znikają, gdy podczas spaceru spotyka śliczniutką dziewczynę o imieniu Moka. Gdy ta wyznaje mu, że jest wampirzycą, chłopak nie traktuje jej słów poważnie... Szybko jednak orientuje się, iż to nie był żart, a on sam trafił do szkoły dla potworów, które przybierają ludzką postać...

Mimo że jest to *anime* obfitujące w „sceny majtkowe” i liczne podteksty, specyficzny humor tej serii stoi na wysokim poziomie.

Justyna Kmieciak

Czarne dni futbolu

O tym, że chuligaństwo gości na krajowych stadionach od lat, wie każdy. Jednak nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, że nie dotyczy ono jedynie naszej piłki.

Choć u nas problem ten ciągnie się od wielu lat, a kolejne rządy zdają się nie dostrzegać tych patologii lub zwyczajnie nie robią nic, by im zapobiec, nie można przypisywać tego zjawiska tylko Polsce. Jak świat długi i szeroki istnieją grupy fanatycznych kibiców, gotowych do najbrutalniejszych starć za swoje klubowe barwy. Najczęściej mamy do czynienia z perfekcyjnie zorganizowanymi bojówkami. W Rosji mamy choćby Jarosławkę, w Anglii Red Army, Suicide Squad, w Brazylii Mancha Verde, a we Włoszech Drughów. Problem ten zatem nie jest naszą narodową „specjalnością”, ale zawsze pojawia się tam, gdzie gra się w piłkę nożną.



Pierwszy triumf Juventusu Turyn w Pucharze Europy pamięta się bardziej z powodu chuliganów i tragedii, jaka miała

wówczas miejsce w Belgii na stadionie Heysel, niż Zbigniewa Bońka czy jedyne goła z rzutu karnego Michela Platinięgo. 29 maja 1985 roku w Brukseli odbył się finał, w którym ze Starą Damą grał FC Liverpool. Kibice angielskiej drużyny przedarli się przez ogrodzenie i zaatakowali siedzących vis a vis Włochów. Ci w popłochu zaczęli się nawzajem tratować. Pod naporem tłumu runęła wówczas na nich trzymetrowa ściana. Zginęło kilkudziesięciu kibiców. Brytyjski dziennik Daily Mirror napisał po spotkaniu: *Dzień, w którym futbol umarł*. Angielskie kluby na 5 lat wykluczono z europejskich rozgrywek. Do tej pory Włosi, a szczególnie fani Juve, żywią urazę do Brytyjczyków.

W 1988r. podczas mistrzostw Europy to Niemcy, a szczególnie Düsseldorf, stały się miejscem walki pomiędzy krajowymi, holenderskimi a angielskimi kibicami. Walki toczyły się na ulicach. Opanowanie sytuacji zajęło kilka godzin, a i tak następnego dnia bójki rozgorzały na nowo. Powszechnie uważało się, że to Wyspiarze sprowokowali walki. Jednak policja publicznie obarczyła winą za zaistniałą sytuację Niemców „wielbiciele” piłki.

Terenem chuligańskich bijatyk jest w gruncie rzeczy cała Europa. Podczas ostatnich derbów Barcelony to kibice Dumy Katalonii, radykalna grupa Boixos Nois, na

stadionie rywala zza miedzy sprowokowała siedzących w niższych sektorach fanów Espanyolu, rzucając w nich odpalonymi racami. Sędzia Luis Medina Cantalejo był zmuszony przerwać spotkanie na około 10 minut, bowiem rozwścieczeni kibice gospodarzy wdarli się na płytę boiska. W Andaluzji natomiast podczas derbów Sevilli dosyć często, jak na poziom kibicowania w Hiszpanii, zdarzały się przepychanki na trybunach między fanatykami obu ekip. Celem wzajemnej agresji byli nawet sami piłkarze, obrzucani najróżniejszymi przedmiotami.

2 lutego 2007 to jeden z najczarniejszych dni włoskiego futbolu. Derby pomiędzy Catanią i Palermo zostały przerwane z powodu chuligańskich zamieszek, w których zostaje zabity 38-letni policjant, trafiony petardą, choć powszechnie uważa się, że była to wręcz bomba domowej roboty. Rozróbą, która rozpoczęła się na trybunach szybko przeniosła się na ulice miasta. Włoska Federacja Piłki Nożnej zawiesiła rozgrywki w Serie A, B i C. Tragedia ta była poprzedzona kilkoma innymi zajściami. Jeden z kibiców Livorno został zaatakowany przez grupkę fanów Fiorentiny. Poszkodowany trafił do lekarza, założono mu 20 szwów na głowę. Innym razem fani sycylijskiej Catanii stali się obiektem agresji fanatyków Atalanty na obrzeżach Bergamo. Doszło również do starć z policją. Kolejną tragedią zakończyła się bójka kibiców Lazio i Juventusu przy autostradzie w okolicy Arezzo. Nieszczęśliwe spotkanie miało miejsce na jednym z postojów, gdzie zatrzymały się autobusy obu grup. Śmierć poniósł jeden z tifosi rzymskiego klubu, zastrzelony przez funkcjonariusza służb porządkowych. Na wieść o tragedii mecz Inter-Lazio odwołano, a reszta spotkań odbyła się z opóźnieniem. Piłkarze oraz sędziowie biegali po murawie z czarnymi opaskami.

Przykładów z samej Europy można wymieniać w nieskończoność. Aktów wandalizmu i chuligaństwa doszukiwać by się mogło nawet na Wyspach Brytyjskich, które są dziś niedoścignionym wzorem dla reszty krajów chcących walczyć z przemocą na stadionach. Takie tragedie, jak na Heysel, zmotywowały Anglików do podjęcia radykalnych działań przeciw stadionowemu bandytyzmowi. Zaostrzono kary, wprowadzono zakazy stadionowe (nawet dożywotnie!), korzystano z zapisów wideo, a przede wszystkim zmieniono strukturę obiektów, na których rozgrywano mecze. Dziś to szansa uniknięcia kary jest minimalna, wcześniej bardzo często bywało na odwrót.

Mateusz Ciołkowski

Ważna jest komunikatywność i umiejętność współpracy. Rozmowa z Pauliną Otrębską, szefową Samorządu Uczniowskiego „Czternastki”



Przede wszystkim gratuluję wyborczego sukcesu. Powiedz, czy na Twoją wygraną wpłynęły liczne obietnice złożone wyborcom, nieróżniące się przecież od przyrzeczeń innych kandydatów? Czy też może masz tak silny dar przekonywania?

Jak sama wspomniataś, moje obietnice wyborcze nie różniły się zasadniczo od obietnic znakomitej konkurencji. Nie postawiłam na dar przekonywania, gdyż uznałam, że każdy z kandydatów ma równe szanse. Wyborcy powinni zagłosować wedle własnych kryteriów. Jest mi niezmiernie miło, że miałam poparcie wśród tylu osób. To chyba znak, że mnie lubią.

Twój program oferuje wachlarz nowych atrakcji oraz inicjatyw. Jedną z nich, „szczęśliwy numer”, uczesz z pewnością każdego ucznia. Myślisz, że łatwo będzie zrealizować takie przedsięwzięcie i że spotka się ono z entuzjastycznym przyjęciem również ze strony nauczycieli?

Wiadomo, że taki patent z pewnością spotkałby się z entuzjazmem wśród uczniów. Każdy chciałby mieć dodatkowo „bezpieczny” dzień. Wspólnie z innymi osobami z samorządu poruszemy ten temat na spotkaniu, jednak ten pomysł może nie spotkać się z akceptacją ze strony nauczycieli. Mimo wszystko, nawet jeśli miałyby się nie udać, spróbować zawsze warto.

Problem palenia papierosów w naszej szkole poruszany jest coraz częściej. Czy jako przewodnicząca zamierzasz podjąć jakieś działania przeciwko szkolnym palaczom? A może za lepsze uważasz rozwiązania umiarkowane? →

Według mnie, większość ludzi chodzących do liceum to osoby prawie dorosłe i w jakiś sposób decydujące za siebie. Osobiście jestem zdania, że niewiele w tej kwestii zdziałałam. Wydaje mi się, że palenie jest to indywidualna sprawa każdego człowieka. Natomiast doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie sprawia przyjemności korzystanie z toalety, w której unoszą się kłęby dymu i nieprzyjemny zapach papierosów. W każdym razie - jak sami już zauważyliśmy - szkoła wszczęła walkę z palaczami, nawiązując współpracę ze Strażą Miejską. Wzmógł się także rygor ze strony pracowników szkoły. Myślę, że powinno to poskutkować.

Czy możesz powiedzieć coś więcej o Twoim pomyśle organizacji spotkań z pracownikami krakowskich uniwersytetów? Jakie tematy byłyby poruszane na takich spotkaniach?

Jest to propozycja skierowana głównie do maturzystów. Spotkania te mogłyby im pomóc w wyborze uczelni, poznaniu specyfiki studiów i ewentualnej perspektywie pracy po zakończonej nauce.

Dobry przewodniczący powinien być zręcznym dyplomatą, a także odznaczać się dużą asertywnością. Które z Twoich cech charakteru pomogą Ci w spełnieniu wszystkich - niemałych zresztą - oczekiwań?

Myślę, że duże znaczenie ma pewność siebie, ponieważ trzeba mieć dużą odwagę, aby mówić o swoich pomysłach, problemach lub innych sprawach. W samorządzie nie jestem sama, ale pracuje w nim sztab ludzi, dlatego ważna jest też komunikatywność, umiejętność i chęć współpracy, a tego mi nie brak. W jakimś stopniu liczy się także umiejętność bycia w centrum zainteresowania, żeby przyciągnąć uwagę innych. Fakt, że przewodniczący powinien być dobrym dyplomatą, jest równoznaczne z umiejętnością rozwiązywania problemów „pokojowo” i gotowością do pójścia na kompromis. Myślę, że to też potrafię, jeśli nie, to będę doskonalić te cechy, pracując w samorządzie jako przewodnicząca.

Na koniec, powiedz szczerze, czego tak naprawdę możemy się po Tobie spodziewać? Gdy już „dorwiesz się” do władzy, to możesz zmienić się np. w postrach szkolnych korytarzy i koszmar tych, którzy nie zamie-

rzają być Ci posłuszni.

Tak naprawdę to ja sama nie wiem, czego się po sobie spodziewać. Czasem jest tak, że niektóre pomysły wpadają mi do głowy niespodziewanie. Chciałabym realizować swoje plany, ale nie wiem jeszcze, jak mi to wyjdzie. To, czy zamienię się postrach szkolnych korytarzy, zależy od innych uczniów i tego, jak będą na mnie reagować. Zawsze znajdują się osoby niezgadzające się z moim zdaniem. Na pewno nikt nie musi być nikomu posłuszny, bo nie jest niczym niewolnikiem. Są ludzie, którzy mnie lubią, i tacy, którzy nie lubią, ale jeśli chodzi o relacje z innymi, to szanuję tych, którzy szanują mnie i mam nadzieję, że nieprzyjemnych sytuacji uda się uniknąć.

Rozmawiała Justyna Kmiecik

Przed i po lekcjach, czyli codzienne życie licealisty poza szkołą

***I get knocked down, but I get up again, You're never gonna keep me down* – słowa piosenki Tubthumping, znanej rockowej grupy Chumbawamba budzą mnie w któryś poranek w środku tygodnia o godzinie 6:30.**

Poranek...

...który praktycznie niewiele różni się od innych poranków „pracowitego tygodnia”. Poranek, który stopniowo zacznie się przeistaczać w zwykły, pracowity, tętniący życiem dzień, gdy ja będę siedział w szkolnej ławce. Poranek, podczas którego muszę się podnieść z łóżka, wykonać wiele podstawowych porannych czynności, a może nawet sprawdzić, co było na zadanie domowe z poszczególnych przedmiotów, po czym spakować plecak i pośpieszyć na autobus.

Na razie jednak podświadomość pozwala mi jedynie na użycie prawej ręki w celu wyłączenia budzika, który wygrywa już dość przestarzałą, ale wciąż przeze mnie lubianą piosenkę. Leżę dalej, myśląc: *30 sekund dłużej, cóż to takiego? Tyle co nic.* Ta pogodna myśl pozwala mi na jeszcze chwilę odpoczynku przed ciężkim dniem, jaki mnie czeka. W końcu leniwie unoszę głowę w celu ponownego spojrzenia na ekran telefonu, na którym jednym ze stale wyświetlanych elementów jest aktualna godzina. Otwieram oczy, patrzę... 6:51 – brutalny kop zadany mojej uczniowskiej świadomości, niedo-

puszczającej do siebie spóźnienia na pierwszą lekcję, której początek jest zaplanowany na godzinę 9:15. *To niemożliwe* – pomyślałem, po czym szybko wstaję z łóżka. Przeciągając się, dodaję w myślach: *No, to ruszamy. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje... Podobno.*

Pół godziny później...

...jedząc własnoręcznie przygotowane naprędce skromne śniadanie, próbuję zebrać myśli. Sprawdzam, czego mogę się spodziewać na dzisiejszych lekcjach. Angielski... następny *unit* w książce, zadanie zrobiłem ostatnio na lekcji. Chyba że to stare jakieś, ale to w tej chwili nie jest najważniejsze. Następnie historia... Z historii przecież ostatnio był sprawdzian, więc bez obaw. Dwie godziny języka polskiego; chyba nie było zadania. „Chyba” to jedno z tych magicznych słów, które w takich sytuacjach, jak ta, potrafi momentalnie zamienić się w słowo „na pewno” bądź też w mniej wyrafinowane określenie: „na stówę”. Wiedza o kulturze i chemia – te lekcje z pewnością miną bezboleśnie, pomyślałem, godząc się z moim (nie do końca) zdrowym rozsądkiem. Nie mówiąc już o dwóch wuefach, na których jak zwykle będę parodiował grę siatkarzy (ależ bynajmniej nie celowo). Jest godzina 7:35. Mam dużo czasu, włączam kompa.

Przystanek autobusowy znajduje się 350 metrów od domu Piotrka. Oblicz, czy Piotrek zdąży na autobus przyjeżdżający o godzinie 8:09, jeżeli wyruszy galopem („v” w przybliżeniu > 78 m/10 sek., z dodatkowym obciążeniem na plecach) z domu o godzinie 8:07:51. Przyjmij założenie, że zmęczenie, zadyszka oraz inne przeciwności losu nie wchodzi w grę.

Autobus

Próba łapania oddechu. Na sześć godzin przed lekcją wychowania fizycznego zafundowałem sobie porządną rozgrzewkę.

W autobusie nikogo znajomego w pobliżu, toteż żądanych standardowych rozmów zaczynających się od *Cześć, co tam słyszałeś?*, a kończących na *Dobra, lece, nara. Zgadamy się kiedyś na gg.* Mimo to mam przecucie, że rozmowa tego typu czeka mnie w drodze powrotnej do domu. Stoję, gapię się na swoje buty, raz po raz wyciągam telefon, z przyzwyczajenia (jakże

łatwo jest nabrać takich przyzwyczajzeń, nawet wtedy, gdy przez dłuższy czas dostaje się sms-a raz na 2-3 dni). Ok, jeszcze jeden przystanek i wysiadka. Następnie drugi autobus, który jest na styk z tym, w którym znajduję się obecnie, poza tym jeździ częściej. Na zegarku 8:37.

Już na półmetku

Czyli: 4 lekcje za mną, 4 przede mną. Wszystko idzie planowo. Przerwa. Właśnie robię zadanie z WOK-u. Cóż, niedopuszczalnym jest wymaganie od biednego ucznia pamiętania o tym, że tydzień temu zapomniał zeszytu i pisał na kartce. Kartka „zniknęła”, a na niej było zapisane zadanie domowe. Mimo tego Pani Profesor ma ten przywilej, więc trzeba napisać ten... eee... zaraz... REFERAT?!

Dwie godziny później...

...wchodzę do szatni na wf. Jedyńka z WOK-u, phi, wielkie mi co. *Uczeń bez jedyńki, to jak żołnierz bez karabinu*, proste. Z tym że ja z moich uzbierałem już potężną artylerię. Ale nic to, poprawi się... Czas wyciągnąć strój na wf. Gdzie też mogłem go schować? Po 2 minutach poszukiwań w plecaku dokonałem następnego odkrycia – strój został schowany, ale do szafy w moim pokoju. Hm...

17:08

Czekam na autobus, który według rozkładu ma być o 17:16. Nie myślę już o szkole, stoję znudzony, rozglądając się raz po raz za autobusem. O, jest, nareszcie. Wsiadam.

W środku m.in. koleżanka z czasów gimnazjum. Ostatnio widziałem ją tydzień temu w postaci żółtego słoneczka na gadu-gadu. Myślałem, że uda mi się spędzić drogę powrotną do domu w milczeniu, tocząc myślowe boje z moimi rozterkami nastolatka. Nic z tego. Przyszedł czas na obowiązkowe bycia „starym znajomym”. Pytania o oceny, życie pozaszkolne, ploteczki. Na koniec obietnica, która czasami brzmi jak groźba: *Zgadamy się kiedyś na gg, na pewno.*

Od trzech godzin...

...jestem w domu. Ponad dwie siedzę przed komputerem. To nie moja wina, muszę napisać w końcu coś →

do gazety szkolnej. Mam już 5 linijek, do północy jeszcze dużo czasu.

Do pokoju wchodzi mama. Oczekuję *speech*-a na temat mojego braku zaangażowania w naukę czy też bardziej ogólnie rzecz biorąc – na temat lenistwa. Oczywiście, nie zawiodłem się. Po blisko trzyminutowym kazaniu zde gustowana mama opuszcza pokój, dodając:

– *Nie wytrzymam z tym dzieckiem.*

Dzieckiem? Nie rozumiem, jak można nazwać dzieckiem kogoś, kto pisze do gazety w liceum?

Kwadrans po północy

Mój pokój. Szkoda, że tata nie zgodził się na napisanie mi usprawiedliwienia za planowaną nieobecność na jutrzejszej pierwszej lekcji. Cóż, trudno. Jeszcze tylko posłucham dwóch piosenek i idę spać. Naprawdę na nic nie mam czasu. Tyle zadań domowych, obowiązków... A już ci, co niemal codziennie mają jakieś zajęcia pozalekcyjne, muszą chyba mieścić dwie doby w jednej. A może po prostu potrafią się lepiej zorganizować? A może...

Ostatniej myśli nie udało mi się dokończyć, gdyż wreszcie zasnąłem, ledwie wyjmując słuchawki z uszu. Budzik nastawiony tym razem na godzinę 7:00.

Piotr Korzeniowski

GALERIA SZKOLNYCH OSOBISTOŚCI Tatiana Nagrebeckiej



o. Klaudiusz

Generacja Nic.

30 centów ponad poziomem, bez sentymentów jak don Corleone, w pionie, ponad powierzchnią, 30 centów nad szarą powierzchnią (...)

Długa jasna smuga iskier, ja tutaj, jako ta nuta wszystkie bariery łamię, niespotykane łatwe latanie ramię w ramię, z moimi anielskimi talentami

(Fisz & Pokahontaz)

Powroty bywają bolesne – kiedy pierwszy raz o tym pomyślałam najprawdopodobniej wchodziłam do domu po schodach lekko oglupiała.

69 rocznica napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę. Ktoś te datę dokładnie kojarzy?

Do rzeczy!

Wrzesień. Konkretnie pierwszy. Konkretniej poniedziałek września pierwszego, godzina dziewiąta.

Ta... To teraz wątpliwości nie ma. O szkole będzie.

Koniec wakacji zawsze witałam z lekkim niedowierzaniem. Niedowierzaniem i smutkiem. Tym razem było nieco inaczej. Rzekłabym, że marzyłam o powrocie do szkoły. Powrocie, który do 28 sierpnia nie był taki pewny.

W chwili, w której to piszę jest 11 września. I mam dość. W wakacje brakowało mi jakiejś tam systematyki. Konkretnych godzin i ogólnie narzuconego harmonogramu. Teraz i przez najbliższe osiem miesięcy będzie brakowało mi snu i cierpliwości.

O ile zrozumienie potrzeby snu będzie dla Was jasne, gdyż sami go potrzebować będziecie, o tyle nie do końca będziecie w stanie pojąć dlaczego we wrześniu brak cierpliwości rekompensuję sobie ironią i sarkazmem.

Nim się rozpiszę, chciałabym przeprosić wszystkich, którzy poczują się dotknięci tym tekstem. Na swą (przyszłą) obronę dodam tylko tyle, że po ojcu odziedziczyłam skłonności do bycia socjopatą.

Teraz słuchaj, takie rzeczy Ci opowiem, które się nie będą chciały zmieścić w głowie. Wszystko nagle Cię zaboli, w sercu Ci się...

Września drugiego miałam chemię, tak jak zresztą 32 inne osoby z klasy mej. Chemia jak to chemia, aczkolwiek starałam się zachować przytomność. Niestety z

lekcji nie wyniosłam nic. Lecz przynajmniej od koleżanek mych dowiedziałam się, ile kosztują prostownice, które są najlepsze. Co należy w prezencie ślubnym dać i co należy włożyć (na siebie), by olśnić wszystkich.

A potem było wychowanie fizyczne. Jako że nie jestem zwolenniczką uprawiania sportu i zwolnienie lekarskie posiadam, toteż W.F. przeleciał mi na słuchaniu o tym, że:

- *jestem na diecie,*
- *ale ona przytyła,*
- *jak mam schudnąć?!*
- *muszę załatwić sobie zwolnienie.*

Tak jest, Drogie Panie! Zwolnienie z wychowania fizycznego to rzeczywiście najlepszy sposób na pozbycie się wymagowanego (często, choć nie zawsze) tłuszczu. Brawo!

Ponad powierzchnię, a powierzchnia okazuje się dnem.

Mnie się zawsze wydawało, że szkoła to miejsce gdzie przychodzi się na lekcje, a nie na szluga w kiblu, kawę z automatu i plotki. No ale chyba tylko mi się wydawało.

Bywam pod ogromnym wrażeniem głębi rozmów Waszych prowadzonych na szkolnych korytarzach. Może się mylę, ale kiedy mimowolnie staję się słuchaczem owych rozmów, dochodzę do wniosku, że bardzo nudne jest Wasze życie, skoro tematem za każdym razem są życia innych.

Żenujące żarty żenujących ludzi, posiadających żenujące poczucie humoru. To nie jest tak, że ja Was nie lubię. Choć z drugiej strony żyć bez Was też bym nie mogła. Jest mi Was po prostu czasem żal niesamowicie. Ja rozumiem, że „kręcenie bajerki z maniurką” to bardzo ekscytujący temat, ale dość monotony. Mylę się?

Głośnym strzałem w twoją głowę rozpoczynam rzeź idiotów

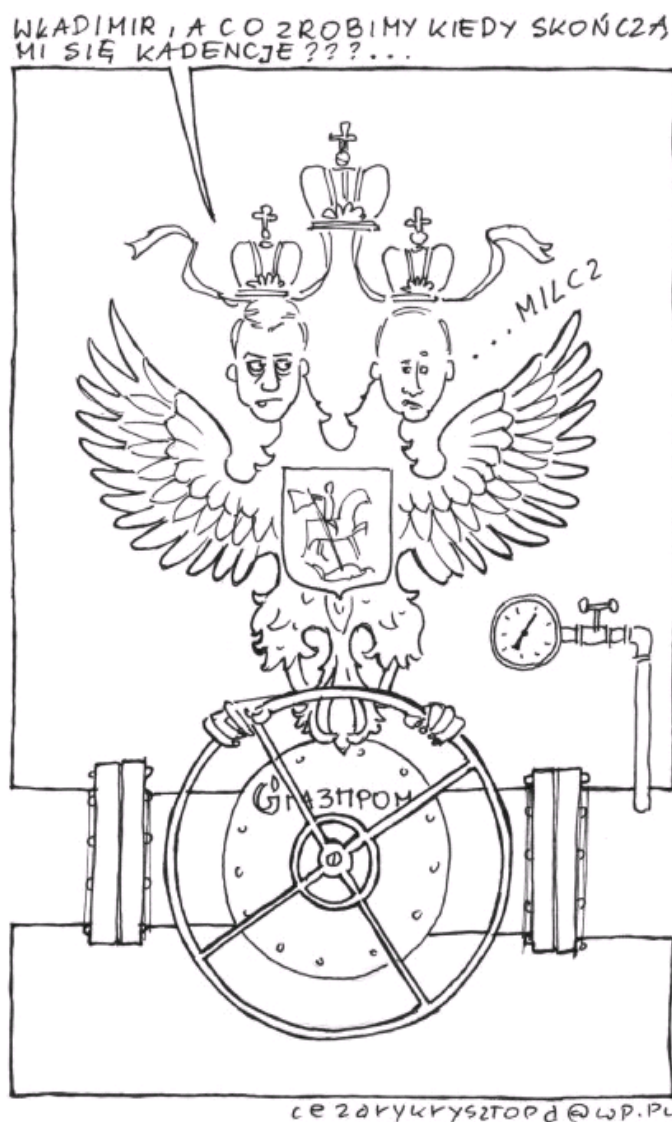
Możecie myśleć, że kpiną leczę kompleksy. I może będziecie mieć rację, choć nie sądzę, że dotrze do Was obraz mojego stosunku do szkolnej społeczności. Możecie myśleć, że jestem jakimś zadufanym w sobie kujonem, ale wtedy Was wyśmieję. Możecie sobie myśleć to, to, to i jeszcze tamto, ale i tak ja zawsze będę w lepszej sytuacji niż Wy.

Nie wiem jak Pani, ale ja już skończyłem

sijah.

Boże, uchwaj!

– z galerii Cezarego Krysztopy



Więcej rysunków znajdziecie pod adresem: www.bozeuchowaj.salon24.pl

Ciełych,
rodzinnych
i spokojnych
Świąt Bożego Narodzenia



oraz wolnego od trosk i kryzysów 2009 Roku
życzy Redakcja

KID – pismo XIV Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie

Redaguje kolegium w składzie:

Bartosz Bielszczuk – redaktor naczelny
Justyna Kmieć – z-ca redaktora naczelnego
Gloria Gawlik
Tatiana Nagrebecka
Ewelina Sieńko
Mateusz Ciołkowski
Damian Kalamus
Michał Kończakowski-Dziób
Piotr Korzeniowski
Opiekun Redakcji: Andrzej Tadas
Współpraca: Michał Orczyk, Cezary Krysztopa

Adres redakcji:

ul. Chełmońskiego 24
31-322 Kraków
tel.: 637-46-74
e-mail: Bajansagre@poczta.fm